

i swojej do niej nienawiści. Chłonęła tylko w siebie słowa bajki, której sens właściwy ona jedna z tej małej gromadki pojęła.

Nagle w tę czarodziejską przędzę półtonem płynących słów wplątała się krótka gama głośniego śmiechu, a młody, dźwięczny głos zawołał:

— Niech mi Kasia da tę lampę! Ja zaniosę!

Ze stukiem otworzyły się drzwi. Pokój zalało jaskrawe światło lampy, którą trzymała w obu rękach młoda dziewczyna, ubrana w ciepły żakiet zimowy i czarną futrzaną czapeczkę.

Srebrzyły się na żakiecie i czapce płatki śniegu, uczepiły się białe gwiazdeczki niesfornych, naturalnie wijących się loczków, ale od młodej tej postaci powiało coś, niby świeżość poranku majowego i słodka woń rozkwitłych kwiatów wiosennych.

Może dlatego, że urocza twarz dziewczyny była jak kwiat najpiękniejszy, może dlatego, że jej niebieskie oczy przypominały lazur nieba pogodnego i błękit niezapominajek.

— Cóż tak pociemku? — zawołała, stawiając lampę na stole — Jakież uroczyste posiedzenie!... Pewnie pani Kornelia opowiada bajki... Dobrze trafiłam, posłucham i ja...

Ale dzieci nie chciały już słuchać dalej bajki, bo dzieci zmienne bywają i okrutne.

Władzio aż stołek przewrócił z wielkiego pospiechu, Zosia zeskoczyła z kolan macochy i oboje biegli na wyścigi, krzycząc, co sił:

— Panna Józia! Panna Józia!

Ale uprzedziła ich Stefka. Chłodną, poważną, jakby nie dziecinną twarzyczkę dziewczynki rozjaśnił ciepły błysk radości.

Z burzliwą serdecznością rzuciła się przybyłej panience na szyję i zaczęła ją gwałtownie całować, dusząc niemal w uścisku.

— Panna Józia! Jaka pani dobra, że pani przyszedła!

— Stefa, dajże spokój, bo mnie udusisz!... Puszczajcie, bębny, niechże się z mamą przywitam!

— Nie, nie puścimy!... Panna Józia nasza, nasz!

Rogoziewiczowa w pierwszej chwili wstała na powitanie gościa, ale zaraz opadła na swój fotel, wsunęła się w niego głębiej, skurczyła się, zmalęła, jak gdyby chciała stać się jak najmniej widoczną.

Szarpnęło ją złe, gryzące uczucie zazdrości. Już odebrała jej chwilowe władztwo nad temi dziećmi duszami. Gorzkie myśli wirowały w jej mózgu.

— Tak! Panna Józia nie opowiada dzieciom bajek, nie przerabia z niemi lekcji, nie troszczy się o ich jedzenie, nie ceruje im pończoszek i nie szyje sukienek, a jednak kochają ją i garną się ku niej, bo panna Józia jest śliczna i czaruje je urokiem tej przedziwnej kobiecości, której ani naśladować ani nauczyć się nie można...

Kornelia zapragnęła nagle zmrozić ten swobodny, wesoły nastrój, jaki z wtargnięciem Józi zapanował.

— Dzieci! — powiedziała tonem tak ostrym, jakim jeszcze nigdy do pasierbów nie przemawiała — Proszę się zachować grzecznie i nie napastować panny Józi, a przedewszystkiem nie hałasować tak, bo tatuś...

Urwała, bo w tej chwili spostrzegła, że mąż stoi na progu. Istotnie hałas zbudził Rogoziewicza z jego drzemki, ale nie gniewał się wcale o to. Przeciwnie, jego smutną, bladą twarz cierpiącego człowieka rozświecił dobry, serdeczny uśmiech. Z zachwytem spoglądał na śliczną grupę, jaką tworzyła Józia, otoczona tuląciami się do niej dziećmi.

Dziewczyna jedną ręką obejmowała Stefcię za szyję, drugą zrywała ze swoich brązowych, puszystych włosów futrzaną czapeczkę, przyczem niesforne kosmyki, nieposłuszne szpilkom, ni grzebykom, rozsypywały się, a czerwone światło lampy kręsało w nich gorące, złote połyski.

Władzio ciągnął ją za fałdy sukni, a Zosia, podnosząc swoją buzię Murillowskiego aniołka, szczebiotała coś jak młode, świegotliwe ptaszę.

Józia śmiała się i odpowiadała małutkiej tą samą spieszczoną gwarą...

Rogoziewicz długą chwilę stał i patrzył.

— Jak wiosna — wyrzekł wreszcie, podchodząc i wyciągając do gościa jedyną swoją rękę — zawsze jak wiosna...

Rogoziewiczowa stała na uboczu zapomniana.

Przygryzła wargi aż do bólu, aby nie wyrwały się z nich słowa ironiczne i niegrzeczne:

— Tak! Jak wiosna: kapryśna i zmienna!

## ROZDZIAŁ II.

Kwieśniowy, chmurny, wyjątkowo zimny dzień. Sypie śnieg z deszczem, zimny wiatr smaga twarz, jak rozpalonym żelazem i nawet poprzez ciepłe ubrania przenika aż do kości.

Mimo tego przed gmachem „Sokoła“ w powiatowym mieście Zykowie zgromadził się tłum ludzi. Nie dba o bezustanną chłapaninę, o świszczący wiatr i dotkliwie zimno, ale wytrwale, uparcie, cierpliwie stoi i — czeka. Nie znieruchomiał jednak, nie zastygł w tem oczekiwaniu. Przeciwnie, gwarny jest i ruchliwy. Dużo tam rozmów ożywionych, dużo gestów wymownych, a najwięcej urwanych wykrzykników podniecenia.

Tłum faluje, porusza się to w tę, to w ową stronę, a niekiedy fłoczy się ku bramie budynku, ale odpływa zaraz, odpychany łokciami i pięściami kilku policyantów, którzy wołają:

— Ta, co jest? Nie pchać się! Proszę się rozejść! Tu jest „urzędowe“ miejsce! Ta, co się pani tak pcha? Pani do „asentyrunku“ nie potrzebn!

Tłum cofa się, ale nie ustępuje. Przeważają w nim kobiety różnych sfer i stanów społecznych. Cała mozaika typów i postaci kobiecych, od pań eleganckich, strojnych w bogate futra, do robotnic, odzianych w chustki, lub podniszczone żakiety, od wieśniaczek w kraśnych strojach ludowych i koralach na szyi, do żydówek w perukach, od siwowłosych staruszek do dziewcząt młodzieżowych.

Stoją jedne, dobrze odżywione, pełne, różowe i inne, daleko liczniejsze, mizerne, anemiczne, poźółkłe, stoją stare i młode, brzydkie i ładne, kwitnące i zawiądłe, panny i mężatki, wszystkie pełne troski i niepokoju.

Nawet stara żebraczka z pod kościoła, znana całemu miastu „krzywa Maryna“, przywlokła się o kiju, boć i jej syn staje dzisiaj do „synterunku“. A chociaż on o matkę ani dba, ani znać jej nie chce, zawsze ciekawość: wezmą, czy nie wezmą?

— Bo to proszę ja pani, zawsze słabowite było i nogi krzywe miało — objaśnia „krzywa Maryna“ jakąś stojącą obok niej mieszkę w porządnym żakiecie z futrzanym kołnierzem i czarnym filcowym kapeluszu.

Ta kiwa głową na znak zrozumienia i nawzajem o wadzie sercowej swego męża opowiadać zaczyna.

Wogóle wszystkie te kobiety, jakby zatraciły poczucie wszelakich dzielących je różnic. Znajome i nieznajome rozmawiają ze sobą poufale i współczująco i rozumieją się doskonale. Każda z nich drży o kogoś bliskiego, o męża, syna, narzeczonego, czy brata, każda przechodzi te same tortury, oczekiwania i niepewności.

Śnieg zaczyna padać grubszymi płatami, ubranie przesycę się wilgocią, wiatr staje się coraz ostrzejszy, zimniejszy, dokuczliwszy, ale ktoby tam zważał na to... Tam, w głębi gmachu, odbywa się „asenterunek“...

Nie pierwszy to już „przegląd pospolitaków“ przyszedł po wielu innych. Zabrano już krzepkich, zdrowych, tryskających nadmiarem życia i sił — teraz kolej na słabszych, chorowitych, obarczonych organicznymi wadami lub chorobami.

W tłumie, obok kobiet, czekają na wynik „asenterunku“ także mężczyźni, ale jest ich daleko mniej. Przeważnie to już ludzie starsi. Najwięcej żydów. Ci też najgłośniej mówią, najenergiczniej gestykulują i największe zdradzają zdenerwowanie.

Oczy całej tej gromady ludzkiej kierują się co chwila w górę, ku oknom, gdzie migają twarze męskie, uśmiechnięte jedne, inne zafrasowane, inne wreszcie obojętne, spokojne.

To są „pospolitacy“. Jedni już wyrok komisji usłyszeli, inni oczekują nań dopiero.

Tłum usiłuje porozumieć się z nimi, pomimo, że okna zamknięte.

— No, gadajże! Wzięli cię, czy cię nie wzięli? — woła na cały głos zażywna, rumiana jejmość, robiąca wrażenie typowej, małomiejskiej „pani majstrowej“.

Stojący przy oknie mężczyzna, z okragłą, dość głupkowatą twarzą, uśmiecha się niewyraźnie i daje ręką jakieś niezrozumiałe znaki.

— Rany Boskie! A toć on chyba pokazuje, że go wzięli! Ale napewno nie wiem! Gadajże wyraźnie, po ludzku! Ciemnego jeden! Wzięli cię, czy nie?!

Znowu gest niezrozumiały.

— Ani chybi, wzięli go! O, rety! rety! A coż oni z nim zrobią?! Przecie on głuchawy jest i jedną nogę ma w kolanie grubszą!

— Skądże pani wie, że go wzięli? To jeszcze niewiadomo! — wtrąca ktoś uwagę.

— Jakże nie wiadomo! A bo to nie pokazywał! Tymczasem mąż energicznej jejmości ukazuje się w bramie, uśmiechnięty, zadowolony. Uznano go za niezdatnego.

Zaledwie jednak zdążył oznajmić to żonie, ta wybucha gniewem.

— A cóż ty mi, durniu jeden, pokazywał, że cię wzięli! „Spasy“ sobie będziesz stroił? Za głupią mnie masz? Nastraszyć mnie chciałeś? Uwa! Jeszcze takiego przy wojsku nie widzieli!

Tu i ówdzie słychać w tłumie śmiech.

— Bądźże pani zadowolona, że męża puścili, a nie tak zaraz huru-buru na niego, bo się jeszcze „fajwilig“ do wojska zamelduje!

— Hop-go pani za „badyle“ i wio z nim do domu!

Inna, żona łagodniejszego snąc usposobienia, z cichem rozpromienieniem ujęła pod ramię męża swego, uderzając chudego człowieka, o pergaminowej cerze i zapadłej piersi.

— Biedactwo! Cieszy się, a jemu i bez wojny trzy ćwierci do śmierci!...

Jakiś garbusek tłumaczy znajomym, że nie pojmuje, jak się to stało, iż jego nie uznano za „zdatnego“, chyba przez pomyłkę lekarza.

Ale ci „uwolnieni“, to jednostki tylko. Coraz częściej słychać słowa „wzięty“, „asenterowany“, „zdatny“, „geeignet“.

Bardzo młoda kobieta z wyglądem dziewczyny i ślubną obrączką na palcu, płacze cicho. Nie krzywi się, nie łka, nie zawodzi, tylko usta jej drgają żałośnie, jak u skrzywdzonego dziecka i lzy płyną po policzkach duże, jasne, niby płynne perły. Obok niej baba wiejska, w „rzęsisistych“ spódnicach, odziana grubą chustką, uderza w głośny lament.

— O! Mój Boże! Mój Boże!... Moje dzieci!... Mój biedny chłop!...

— Cichoście, kumo! A czyście wy to pirszo i czy ostatnio?

— Dziękujcie Bogu, że mąż tyle czasu w chałupie był!

— — — — —

— Całuję rączki pani dobrodziejce! Moje najniższe uszanowanie pannie Lolil! To i panie tutaj? Pan Konrad staje?

— A tak... Stoimy już od kilku godzin i nic nie wiemy! Mój panie Adamski, może panu będzie łatwiej... Gdyby pan był łaskawy dowiedzieć się... Wprawdzie Konrad był już raz superarbitrowany z wojska i teraz niedawno przechodził ciężkie zapalenie płuc, ale zawsze...

— Z przyjemnością, pani dobrodziejko! Służę! Już ja się dowiem...

Krótki, korpulentny, łysy jegomość składa ukłon przed panią Zarnicką i jej córką i znika.

— Doprawdy, mam, nie wiem, czego my tutaj marzniemy godzinami! Jakikolwiek będzie rezultat, dowiemy się w porę...

(Ciąg dalszy nastąpi.)